

Marsz, marsz, Bolonia, czyli angielska pochwała filologii polskiej

Moda na jubileusze ogarnia wszystkie środowiska, także naukowo-dydaktyczne. Te ostatnie stanowią jednak szlachetny wyjątek, gdyż niemal wyłącznie w nich właśnie obchody rocznicowe podtrzymują wąty płomyk tradycji literatury okolicznościowej, co czasem przejawia się w zachwianiu proporcji między słowem a winem, czyli ilością spożytego alkoholu a liczbą i długością wygłaszanych toastów. Po bankiecie zamykającym uroczystości 25-lecia polonistyki szczecińskiej, podczas porządkowania sali biesiadnej odnaleziono zapisaną anonimowo na serwetce odę, która, mimo lokalności swej domniemanej genезy, zawiera kilka odniesień uniwersalnych, wartych upublicznienia ogólnopolskiego, gdyż – jak się zdaje – chce być głosem w sprawie sytuacji akademickich środowisk polonistycznych w całym kraju.

Dzieło to skupia na sobie uwagę pewnymi aspektami poetyki immanentnej, dziś już nieczytelnymi bez przywołania kontekstu macierzystego, które spróbuje zrozumieć tylko wytrawny badacz tamtej epoki – zresztą z podobnym skutkiem. Mogą one być przypadkiem, nieporozumieniem sytuacyjnym albo omyłką genologiczną. Powstał bowiem sonet, włoski z ducha i w schemacie wersyfikacyjnym, ale zarazem nieco szekspirowski w języku. Niezależnie od efektu tego międzynarodowego krzyżowania odmian gatunkowych niejasna pozostaje modalność utworu: z jednej strony podejrzana szczerłość panegirysty, z drugiej – wątpliwa intencja dywersyjna. Ambiwalencja patosu i ironii (patetycznej ironii albo ironicznego patosu) wynika choćby z realizowanego tu konceptu, by inwokację do Filologii Polskiej wyrażać w języku angielskim – co dziś już wydaje się normalne, gdy filologia została wyzwolona z jarzma narodowego i zapomniała o swym barbarzyństwie, porzuconym dla przyjęcia standardów europejskich; ale w czasach, o których mowa, to znaczy w roku 2010, zapewne mogło jeszcze bulwersować konserwatywną część społeczności polonistycznej. Zgrzyt wynikał wówczas z jaskrawego zachwiania *decorum*, toteż wypełniające utwór zakłęcia apostrof mogły być odczytywane zarówno jako najwyższe pochwały, jak i wyraz elegijnej żałoby.

Nieznany a nieszczęsny wierszokleśta prawdopodobnie uznał, że przyszłością nie tylko polskiej literatury, lecz także nauki o niej stanie się język makaroniczny jako kompromis zawarty między: z jednej strony presją Listy Filadelfijskiej i Konwencji Bolońskiej, z drugiej – duchem rodzimej tradycji. W prorocztwie tym nie sposób dopatrzeć się większej pomyłki, poza nietrafnym ustaleniem proporcji udziału języka własnego i obcego. Anonim przydzielił bowiem polszczyźnie jako ustawowo chronionemu skansenowi „języka etnicznego właściwego dla danej dyscypliny” aż dwie trzecie swego wiersza, co można

albo zinterpretować jako patriotyczny optymizm, lekceważący proces globalizacji w nauce, albo uznać za kosmopolityczny dekadentyzm.

Hamletyczne wahania wyrażone w tym wierszu nie pozwalają jednak precyzyjnie zdiagnozować intencji autora ani przyjętego przezeń systemu wartości: czy to lęk przed rewolucją, czy też nadzieja na świetlane jutro, kiedy nastąpi wreszcie całkowita uniwersalizacja kodu dla światowego języko- i literaturoznawstwa. Krótko mówiąc: nie wiadomo, czy to łabędzi śpiew, czy krakanie wrony? Czy katastrofizm, czy wizja raj? Tak czy inaczej anonim ujawnia jakieś rozdroże aksjologiczne polskiego uczonego, stojącego przed wyborem: czy pisać rzeczy wartościowe dla siebie, współczesnych i potomnych, czy tylko takie, które są potrzebne do uzyskania punktów w ocenie swej przydatności naukowej w skali świata, którego centrum wyznaczono w Filadelfii, i Europy, której środek przyznano Bolonii.

Niektóre wersy zdradzają konsekwentny opór podmiotu wobec zewnętrznych tendencji modernizacji polonistyki, potraktowanych jako naruszenie autonomii tej dyscypliny i wołający o pomstę akt kulturowego neokolonializmu. Inne wersy – przeciwnie – manifestują entuzjazm wobec adaptacji do zmienionego modelu uprawiania nauki, dla której nowoczesnym motorem stanie się szlachetna rywalizacja, zmierzająca do wyeliminowania idealistycznie nastrojonych nieudaczników, a promująca tych, którzy bez reszty uwierzą, że nie chodzi już o żadne ambicje poznania, lecz o mierzalny i wyrażalny w liczbach wzrost, zaspokajający ciekawość komisji akredytacyjnych wobec działalności uczelni oraz próżność naukowców zapatrzonych w swe indywidualne kariery.

Co znaczy ten tekst dzisiaj i co znaczył w epoce poprzedniej, pewnie pozostanie już tajemnicą. Niech to wykaże prywatna lektura rozważająca go wedle własnych poglądów: etyki albo pragmatyki zawodowej. Pracownia Poetyki Eksperymentalnej, której zlecono ekspertyzę, od dłuższego czasu znacząco milczy na ten temat, żywiąc zapewne cichą nadzieję, że niewygodne dzieło poetyckie wkrótce zaginie w lawinowo narastających stertach urzędowej makulatury, którymi się szczycą uniwersytety jako niezbitym dowodem swego rozwoju.

Szczecin, grudzień 2050 r.